Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego"

Światek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej.

Wychodzi co niedzielę

Nr. 2. Grudziądz, 12 stycznia 1924. Rok 3.

Rozrywki zimy.

Zima na dobre zawitała do nas, i mimo licznych przepowiedni że będzie niezwykle lekką — darzy nas od paru tygodni silnemi mrozami i obfitością śniegu, którym pokryte są dachy domów i ulice grubą bardzo warstwą. Sanki też pojawiły się na mieście, a często się widzi na małych saneczkach saneczkujące się dzieci, rumiana od mrozu, szczypiącego twarzyczki, i zadowolone i roześmiane z uciechy. Miło i dobrze bawić się w zimie na mrozie w ciepłem ubranku — lecz trzeba pamiętać o tem, że mróz to wielki nieprzyjaciel i groźny bardzo dla ludzi ubogich, których nie stać na ciepłe ubranka — lecz i na opał dla ogrzania skromnego mieszkanka. — Wśród uciech zimowych i zabaw karnawałowych pamiętać więc należy, by część groszy zaoszczędzonych oddawać dla biednych na opał tak dzisiaj niezwykle drogi.

Karnawał, zapewne wiecie dzieci, że to okres zabaw i rozrywek, których ludzie używają w ciągu kilku tygodniu poprzedzających czas wielkiego postu, który w tym roku rozpocznie się z dniem 5-go marca. Bawią się starsi, bawią się też i dzieci w odpowiedni sposób. Zabawa „król migdałowy" rozpowszechniona tak u nas w Polsce jak również i we Francji i w Niemczech nawet, bierze początek od bardzo już dawnych czasów — a polega na tem, by ukryty migdał w ciastku, pączku lub pierniku — trafił na szczęśliwca, który wówczas obwoływany jest królem, dobiera mu się królową — i następują rozmaite hołdy i owacje urządzane na cześć tej pary królewskiej.

W Warszawie dawniej w Ratuszu na cel dobroczynny zawsze były zabawy „Króla Migdałowego" urządzone dla dzieci, i liczne zwykle grono „Milusińskich" brało w nich udział, a biedni korzystali z zabawy bogatych i nie mały grosz często ratował ich od zimna i głodu. Każda pora roku ma swoje uciechy — lecz najmilszą jest wiosna — bo jej z upragnieniem wyglądają wszyscy — i bogaci i ubodzy zarówno.

Wielki Żeglarz.

W roku 1492 wypłynął Kolumb z hiszpańskiego miasteczka Palos, na nieznanym oceanie szukać nieznanych światów. Ludność miasteczka wyległa na brzegi, aby patrzyć na człowieka, który zapewne nigdy nie powróci. Kolumb kazał podnieść kotwicę, odbił od brzegu, i okręty wypłynęły na pełne morze. Z początku, kiedy szły niedaleko brzegów Afryki, które ludzie dobrze znali, było im jeszcze raźno. Niektórzy jednak już zaczynali wyrzekać na Kolumba, że ich skusił na daleką i nieznaną drogę. Kilku majtków zmówiło się nawet i popsuli w okręcie ster, myśląc, że Kolumb nie da sobie rady i każe wracać. Ale Kolumb ster naprawił i płynął dalej.

Po kilkunastu dniach drogi okręty dopłynęły do wysp Kanaryjskich. Były one najdalszym krajem, do którego ludzie w owych czasach dopływali. Kolumb przypuszczał, że poza niemi długo nie zobaczy lądu, dlatego kazał raz jeszcze opatrzyć okręty i zabrać co się dało, wszelkiej żywności.

Trzy tygodnie odpoczywali na wyspach, następnie puścili się w dalszą drogę. Teraz już i najśmielsi zaczęli upadać na duchu.

Z okrętu, jak okiem zajrzeć, nic nie widać, tylko bezbrzeżną wodę i niebo. Rankiem słońce wstawało z za wody, wieczorem za wodę zachodziło... A najprzykrzejsze było to, że nikt nie wiedział, dokąd płynie...

Kolumbowi tylko serce rosło, bo wierzył, że płynąc wciąż na zachód, musi wkońcu dopłynąć do Indji, lub innego zamorskiego kraju. A tymczasem zwracał uwagę na gwiazdy, przypatrywał się każdej rybie, którą złapali z okrętu, oglądał morskie rośliny. Chociaż ziemi nigdzie nie widać było, wszyscy czuli, że tu jakoś inaczej. W nocy widzieli gwiazdy inaczej narysowane. Dni stały się nadzwyczaj upalne. W morzu pływały inne ryby, i rosły inne rośliny. Raz spotkali ociosaną belkę; był to kawałek okrętu, który widać rozbił się i utonął. — Tak i z nami będzie — szeptali zatrwożeni majtkowie.

Pewnego dnia na okręt spadła ryba srebrzysta, o płetwach szerokich jak skrzydła. — Dziwny kraj — mówili — tu nawet ryby nie pływają, lecz latają.

Razu pewnego przed wieczorem zaczęli płynąć między jakiemiś roślinami. Dziwny to był widok: woda dokoła, a na niej mnóstwo traw i zielska, które pływało ogromnemi kępami bez końca. Okręty szły z trudnością wśród poplątanych łodyg. Noc zapadła, a zielska nie przebyli. Wtedy ludzie przerazili się na dobre. Jedni lamentowali, że tu kończy się świat, drudzy się odgrażali, że Kolumba zabiją. Na szczęście, po pewnym czasie okręty wypłynęły znów na czystą wodę.

Tak minął miesiąc czasu; Kolumb kierował statki wciąż na zachód i rad był, że nie spotyka ich żadne nieszczęście, ale ludzie zaczęli znów szemrać i złorzeczyć. — „Chce nas zgubić" — powtarzali — ta woda końca niema. Nie chcemy ginąć, powracajmy! Kolumb przemawiał do nich, tłumaczył, uspakajał, zapewniał, że ląd być musi, że będzie niedługo. Niebardzo się uspokoili, ale minęło jeszcze parę tygodni; wreszcie wybuchły znowu klątwy i pogróżki. Kolumb nie tracił głowy; pewnego dnia zwołał wszystkich i rzekł. Teraz wiem napewno, że już prędko dopłyniemy. Kto pierwszy dojrzy ziemię, temu obiecuję garść złota. Odtąd ludzie patrzyli w dal, myśląc o nagrodzie. Czasem — zwłaszcza o zmroku — ktoś zawołał; — Ziemia! — Ale rano widzieli tylko wodę i niebo. Wtedy się domyśleli, że były to obłoki. Znowu jednak zyskał Kolumb parę tygodni. Ludzie wypatrywali ziemi i czekali. On tymczasem mierzył codzień głębokość wody i wkońcu zauważył, że nie tak jest głeboko, jak poprzednio.

Nocami spać nie mógł, myśląc o nieznanych krajach. Czasem słyszał na okręcie jakieś szepty: rozumiał, że zmawiają się na niego. Modlił się więc gorąco i wzywał pomocy Boskiej. Nie chodziło mu o życie, ale niech przedtem ujrzy nowe światy. Całe życie miał tylko to jedno pragnienie: niech się spełni, a potem — gotów umrzeć, jeżeli jest taka wola Boża.

Rano wychodził do ludzi spokojny i patrzył w przestrzeń, czy nie widać ziemi. Nad okrętami zaczęły przelatywać ptaki; Kolumb się cieszył, widząc w nich wysłańców ziemi, ale mu już nie wierzono. — Trzeba go zabić — powtarzano głośno niech zginie za naszą zgubę! Hałas się wzmagał, wzburzona załoga otoczyła wodza z krzykiem i klątwami. — Stójcie! — zawołał Kolumb. — Czego chcecie?

— Chcemy cię zabić! — ryknęli z wściekłością. — Płyniemy na stracenie, giń ty pierwszy! Podniosły się żelazne drągi i siekiery. — Słuchajcie! zawołał Kolumb. — Chcecie mnię zabić? A kto pokaże wam drogę z powrotem? Ja tylko wiem, którędy trzeba płynąć. Na tę słowa wszyscy umilkli, opadły podniesione ręce. Kolumb mówił dalej; — Chcecie wracać do domu? Dobrze! Żądam tylko trzydniowej zwłoki. Jeżeli przez trzy dni nie dopłyniemy do lądu, wracamy. Przyrzekam wam to pod przysięgą. Zgodzono się czekać trzy dni. Wszyscy rozumieli, że bez Kolumba powrót był bardzo niebezpieczny.

A tymczasem coraz więcej zjawiało się znaków, że ziemia niedaleko. Ptaki latały całemi chmarami, płynęły pnie drzew, kawałki kory, a raz pod sam okręt podpłynęła gałąź ze świeżemi jeszcze liśćmi. Na trzeci dzień przed wieczorem woda koło okrętów była zupełnie płytka. Kolumb nie spał całą noc, i wszyscy razem z nim czekali dnia. Zaczęło świtać. Ludzie zbiegli się na przód

okrętu, Kolumb tylko został przy sterze. Jakże mocno musiało uderzać mu serce przed tą stanowczą chwilą. Naraz kilka głosów zawołało z uniesieniem: — Ziemia! ziemia!

Stało się to w roku 1492, w piątek, dnia 12 października, czyli przeszło 400 lat temu. Nadesł. **Pączek róży.**

Biczyk.

Wesoły dzień miał Janek. Był to dzień jego imienin.

Tatuś, mamusia, siostrzyczka Jadzia i wszyscy w domu ściskali go i całowali od rana, winszując mu imienin.

A co podarunków dostał i jakie śliczne.

Od mamusi farby, od tatusia śliczną książkę z obrazkami, siostrzyczka Jadzia dała mu całe pudełko ołowianych żołnierzy.

Ale najbardziej ucieszył się chłopczyk z biczka dostał go od swej dawnej niani. Teraz chciałby tylko gdzieś jechać. Poprosi mamusię, aby mu pozwoliła usiąść na koźle, obok furmana. I będzie wywijał i palił z bata.

— Zanim jednak gdzieś pojadę, muszę spróbować bicza, — myślał Janek.

Wszyscy zajęci, tatuś i mamusia przy gospodarstwie, a Jadzia pewno odrabia lekcje. Poszedł więc do jadalnego pokoju, bo on największy, no i tam palnął raz z bata.

— Strzela, jak z pistoletu!

Jeszcze raz zamachnął się co sił, a tak nieszczęśliwie, że strącił śliczny wazon, stojący na kredensie, spadł rozbity na dwie połowy.

Janek rzucił biczyk i chwilkę stał przerażony.

— Co też on zrobił? Ten wazon, który mama tak lubiła, i co teraz będzię?

Chyba pójdzie do mamusi i powie, co się stało? Ale mama gniewać się będzie. Zawsze zabraniała bawić się w pokoju biczykiem. Bardzo będzie się gniewała.

Podniósł z ziemi zbity wazon. A gdyby go tak skleić, myślał sobie, stawiając na dawnem miejscu.

Naraz ucieszył się. Udało mu się tak złożyć obie części wazonu, że śladu nie było, iż był rozbity.

— Niech tak sobie stoi, pomyślał Janek, może nikt nie zobaczy i nie zapyta.

Zabrał co prędzej swój biczyk, odstawił krzesła na miejsce, i pobiegł bawić się w ogrodzie.

Wrócił do pokoju dopiero wtedy, gdy go zawołano na obiad.

— No, cóż Janku, bawiłeś się pewno swym batem? — zapytał tatuś.

Nie tatusiu, odrzekł chłopczyk, oglądałem rysunki w książce.

— Tak, odrzekł tatuś, a ja myślałem, że uganiasz na kiju i palisz z bata na wiwat.

— A toż znowu co? Czegoż to Jadzia dziś płakała, na imieniny braciszka, to brzydko.

— Jadzia była dziś nieuważną, rzekła mamusia, zrobiła mi dużą szkodę, bo stłukła mój śliczny wazon.

Łyżka wypadła z rąk Janka, a Jadzia w głos rozpłakała się.

— Mamusiu, doprawdy mówiła płacząc, nie zbiłam go, chciałam tylko zetrzeć kurz, ale zaledwo dotknęłam go, rozpadł się na dwie części.

— Musiałaś go w każdym razie mocno potrącić, rzekł tatuś, bo jakże inaczej mogłoby się to stać; brzydko to, że zrobiwszy taką szkodę, jeszcze prawdy nie mówisz.

Jadzia nic nie odpowiedziała, spuściła tylko główkę i siedziała smutna. I wszyscy byli smutni. A taki smaczny był obiad. Wszystkie potrawy, które Janek lubił, zrobiła mamusia, a on nic prawie jeść nie mógł. Zmuszał się do jedzenia, ale ani kurcząt z sałatą, ani kompotu przełknąć nie mógł.

— Janek chowa apetyt na krem, zaśmiał się tatuś.

— Mamusiu, proszę mi pozwolić pójść położyć się, rzekła nagle Jadzia. Bardzo mię boli głowa.

Siostrzyczka wyszła z pokoju, a Janek siedział milczący.

— Ach, rzekła mama, tak się brzydzę kłamstwem i tak mnie to boli, tak się wstydzę, że moje dziecko kłamie.

— Mamusiu, zawołał nagle Janek, czerwony jak piwonia. Jadzia nie skłamała. — Wazonik był rozbity.

— A ty skąd wiesz o tem? — zapytał tatuś.

Teraz Janek wybuchnął płaczem.

— To ten bat... — mówił płacząc — ja tylko raz machnąłem i chciałem spróbować, czy dobrze strzela... i zrzuciłem wazon.

Mamusia patrzyła smutno.

— I ty to zrobiłeś, a potem pozwoliłeś, żebym się na Jadzię gniewała za twą nieuwagę, — rzekła, — och, Janku, i to w dzień swych imienin, tak brzydko postąpiłeś.

— Mamusiu, przebacz, prosił chłopczyk, już nigdy więcej tego nie zrobię. Biczyk wyrzucę precz, nie chcę go mieć.

— Nie, — rzekł tatuś, — zawiesimy go tu w jadalni, niech ci przypomina twą obietnicę. I niech już nigdy syn nasz nie obawia się szczerze przyznać do winy. Pamiętaj, że kłamstwo, to szkaradna rzecz.

Pamiętajcie o ptaszkach.

Przez doliny i przez łany,
Wieją wichry i tumany,
Gęsty sypiąc śnieg.
A lód w szkliste swe okowy,
Chwycił lasy i dąbrowy,
Głębie wód i rzek.

Dziwnie smutno w całym świecie!
Tylko wicher śniegiem miecie,
Głucho, pusto tak...
Tylko gdzieś tam zabłąkany,
Przez te wichry i tumany,
Zwolna leci ptak.

Siadł na polu białem, gładkiem,
Tam, gdzie niegdyś poddostatkiem
Ziarn i wody miał.
Lecz dziś próżno ziarnek szuka,
Próżno wątłym dzióbkiem puka
W lód, twardszy od skał.

Puste łany i doliny,
Niema żeru dla ptaszyny,
Wszędzie śnieg i lód...
Aż zmęczony osowiały,
Padł na śniegu ptaszek mały,
Bo go zabił głód.

Dziatwo! wspomnij przy igraszkach
O tych biednych małych ptaszkach
Króre dręczy głód;
I kruszynę chleba małą,
Rzuć zgłodniałym rączką białą,
Na śnieg i na lód.

A ów ptaszek wdzięczny, mały,
Za to, żeście mu nie dały,
Skonać z głodu w mróz,
Będzie za was co dnia, dzieci,
Gdy ku niebu z piosnką wzleci,
Modlitewkę niósł.

Przygoda Pędziwiatra.

Posłuchajcie wesołej historyjki. Stało się daleko stąd, daleko, w gorącym kraju, tam gdzie rozkładają się wielkie piaszczyste pustynie, a na drzewach palmowych dojrzewają daktyle.

Taką właśnie pustynią szedł handlarz wędrowny, Pędziwiatr — i niósł na plecach w worku skrzynkę z towarem.

Naturalnie było strasznie gorąco i handlarz pospieszał, jak mógł, aby dojść do lasu i odpocząć w cieniu.

Wreszcie doszedł. Złożył tłomoczek na ziemi, otworzył skrzynkę.

Chcecie wiedzieć, co w niej jest? Same czapeczki! Pędziwiatr odrzucił kapelusz i przykrył łysinę czapeczką. Potem przeciągnął się, ziewnął, i położywszy się obok skrzynki, zasnął.

Wcale się temu nie dziwię: było strasznie gorąco, a przytem Pędziwiatr był setnie zmęczony.

Śpi... śpi handlarz spokojnie. Śni mu się, że ludzie tłoczą się do jego skrzynki, że każdy zachwyca się czapeczkami, przymierza je i, nie targując się, rzuca po złotym pieniążku za czapkę. Śliczny to był sen.

Wreszcie Pędziwiatr zbudził się. Spojrzał na skrzynkę i krzyknął wielkim głosem:

— Moje czapki! Gdzie moje czapki?

Wyobraźcie sobie — skrzynka była puściutenka, ktoś wszystkie czapki wykradł!

Pędziwiatr zaczął biegać po lesie, szukać śladów złodzieja wołać krzyczeć... wszystko nadaremnie.

— OAłła!Ałła! (co znaczy: o Boże!) ulituj się nade mną, biedakiem! — zawołał wreszcie, wznosząc do nieba oczy i wyciągając ręce.

Ach co to? Na gałęziach siedzą małpki z czerwonemi łebkami! Małpki mają na łebkach czapki! Jego czapki!

Pędziwiatr wpadł w rozpacz. Jakżeż te czapki małpkom odbierze? Toż zanim wdrapie się na pierwszą gałąź małpka — spłoszone — skoczą z drzewa na drzewo i w jednej chwili przepadną w gęstwinie!

Niedługo jednak Pędziwiatr rozpaczał. Był to człowiek mądry, wiedział, że łzy i lamenty nie mogą nikomu pomóc, że trzeba spokojnie myśleć, co należy dalej czynić..

Aha, prawda, przypomniał sobie, że małpki lubią naśladować to, co widzą u innych.

Pędziwiatr chwycił więc czapkę z głowy i rzucił nią o ziemię, a w tej chwili: buch, buch, buch... posypały się z góry czapki na głowę i plecy handlarza.

— Do widzenia, panny małpki! — zawołał uradowany Pędziwiatr.

Szybko zapakował czapki do skrzynki i pobiegł brzegiem lasu ku miastu.

Spał w lesie długo, godzina była już późna, pędził więc teraz tak szybko, jak to tylko Pędziwiatr potrafił.

Łamigłówka.

1.	Spółgłoska	+
2.	masa używana przez szklarzy	+ + +
3.	inaczej służący	+ + + + +
4.	miasteczko w Poznańskiem	+ + + + + + +
5.	samogłoska	+
6.	zwierzęta morskie	+ + + + + + +
7.	inaczej wyraz	+ + + + +
8.	zmysł ludzki	+ + +
9.	spółgłoska	+

Środkowe litery stanowią pseudonimy dwóch nowych korespondentów.

Zagadka „Rusałki" dla „Herbatki".

Ryczy wół na sto gór i na sto iezior–

Logogryf od „Lipy“ dla „Asparagusa“.

1. Rzeka w Polsce. 2. Imię żeńskie. 3. Imię męskie. 4. Miasto w Hiszpanji. 5. Ptak leśny. 6. Morze pomiędzy Włochami a Grecją. 7. Zwierzę dzikie 8. Ocean. Litery początkowe, czytane z góry do dołu utworzą nazwę stolicy polskiej.

at se an ro na tyk wi a ba vil lan la man sła wilk drja się tyk

Odpowiedzi od Redakcji.

Samociernlowi. Masz rację, kochany Samociernlu, cieszę się z ładnej, mroźnej zimy, a wzdrygając się na myśl o błotku, w które miasto nasze do niedawna obfitowało; byłoby jednak dla wszystkich lepiej, gdyby mrozy tak silne nie były, bo nie wszędzie jest i opału i odzieży ciepłej poddostatkiem, a nietylko o sobie myśleć wolno.

Podlotkowi. Cieszę się z powiększenia grona korespondentek, ale proszę zarazem aby „Podlotek“ troszkę uważniej pisał, bo na 12-letnią panienkę było błędów stanowczo za dużo. Proszę Cię napisz kto ułożył ten wiersz o Tatrach?

Rybce. Dobrze Mamusia zrobiła wybierając tak praktyczny prezent. Wystawiam sobie radość Władzia z tylu podarków, przypuszczam, że czekoladą podzielił się z Tobą? Ale czy „Rybka“ jada czekoladę?

Lilji wodnej. Tak ładnym jesteś kwiateczkiem, zatem proszę abyś i ładnie liściki kreśliła. Pierwsze zdanie powinno brzmieć: „Muszę Ci opisać moje święta, a nie „o moich świętach“. Za tak poczciwie urządzoną Gwiazdkę pewnie wnuczka bardzo jest wdzięczną Babuni i Dziadkowi?? Znasz dobrze „Zorzę Północną“?

Wielorybowi. Po pogawędce z „Rybką“ i „Lilijką“ przychodzę do Ciebie królu wód morskich aby Ci podziękować za dokładny opis Twego imponującego wyglądu. Do grona korespondentów przyjmuję Cię b. chętnie i jak wymyślisz jaką ładną powiastkę, umieszczę ją w „Światku“, który tak polubiłeś, ale uważaj na ortografję!

Lipie. I Ty bardzo ładnie opisałaś mi Siebie, a lubię Cię bardzo, bo przecież zawdzięczam Ci miodek. Kolendy dobrze wybraliście. Logogryf dobry, w liściku tylko powinnaś była napisać „śpiewaliśmy“, a nie „śpiewalim“.

Królewnę, która mi mieszkanie swoje tak ładnie opisała, witam serdecznie i myślę, że liścik jej pierwszy, ale nie ostatni!

Małgorzatce. Dziękuję za dokładny opis dni świątecznych; o braciszku chciałaś pewnie powiedzieć, że „chodzi do szkoły“ a nie „idzie“. A Ty do której szkoły uczęszczasz?

Rusałce. Zagadka dobra, ale zapomniałaś nadesłać rozw. logogryfu. Oczekuję go.

Kopciuszkowi. Jeżeli powiastka będzie dobra, umieszczę ją, dziś nie mam już czasu ją przeczytać; winszuję dobrego świadectwa i radzę szczerze pracować nad językiem franc., bo to b. ładny język.

Trawce przypominam, że powinna nadesłać rozwiązanie zagadek.

Konwalji. Cieszę się, że chcesz powiększyć grono naszych kwiatków i widzę, że jesteś zadowolona ze swej siedziby. Tęsknotę twoją za wiosną wielu podziela.

Iskierka.

Drukarnia Pomorska T. A., Grudziądz